

Teksty Drugie 1990, 5-6 , s. 146-150



Czy schodzimy na pobocze?

Michał Głowiński

Michał Głowiński

Czy schodzimy na pobocze?

Książki z naszej dyscypliny nigdy nie były książkami zbójceckimi, zdarzało im się jednak odgrywać pewną rolę w życiu społecznym i przyciągać uwagę nie tylko tych, którzy byli nimi profesjonalnie zaintrygowani. Dzieła Tretiaka o Słowackim czy Zbyszewskiego o Niemcewiczu stały się powodem skandali, których pogłosy docierały do szerokiej publiczności, a wielkie monografie Kleintera miały rangę wydarzeń literackich i zapewniły mu fotel w Polskiej Akademii Literatury. W okresie międzywojennym można było liczyć na to, że publikacja zostanie zrecenzowana w tygodnikach literackich, a niekiedy nawet — w prasie codziennej, w ostatnich dziesięcioleciach zdarza się to coraz rzadziej, a jeśli chodzi o dzienniki — już prawie nigdy. Nasze prace adresowane są w coraz większej mierze do uczonych kolegów. Czy tracą przez to na znaczeniu? Zanim jednak będę próbował odpowiedzieć na to pytanie, chciałbym rozważyć inne kwestie. Paradoksalnie, o społecznej pozycji danej dyscypliny świadczą próby jej politycznego wykorzystania, narzucenia wyznaczonego przez siebie porządku ideologicznego, wprzęgnięcia w służbę. Na takie ataki nasza dyscyplina, przede wszystkim — historia literatury, była narażona niemal od pierwszych miesięcy PRL-u, i znajdowała się niewątpliwie w innym położeniu niż np. archeologia, historia sztuki, czy nawet językoznawstwo (przynajmniej do roku 1950, kiedy Stalin opublikował swe lingwistyczne elukubracje). To właśnie w naszej gałęzi wiedzy tropiono ze szczególną lubością różne ślady mistyki i irracjonalizmu,

zwalczano niedozwolone praktyki formalistyczne, czy ogólnie — demaskowano pozostałości nauki burżuazyjnej. Ktoś może powiedzieć, że działa się tak dlatego, że wśród przedstawicieli nowej wiary, którzy w Polsce wprowadzali marksizm w jego sztywnej, stalinowskiej postaci, wielu było krytyków literackich i polonistów, a więc po prostu pisali oni o tym, na czym się znali i co ich zajmowało. Zapewne tak było, jednakże ich działania stanowiły coś więcej niż wyraz prywatnych zainteresowań czy profesjonalnych pasji. Bojownicy o świetlaną przyszłość zajęli się tymi sprawami, bo one coś znaczyły nie tylko w partykularnej perspektywie jednej dyscypliny naukowej, nawet takiej, która ma swe przedłużenia w dydaktyce szkolnej, a także w ten czy inny sposób oddziaływa na życie kulturalne, znaczyły także w ujęciu bardziej ogólnym. Nauka o literaturze wbrew spodziewaniom uczonych znalazła się na pierwszej linii frontu ideologicznego.

I przetrwała na niej do momentu, w którym można już było publicznie ujawniać wszelkie nadużycia trwającej lat kilka historycznoliterackiej stalinady. Chodziło nie tylko o wskazywanie, że ceny zboża w szesnastowiecznej Polsce nie mają się w żadnym stosunku do *Trenów* Kochanowskiego, czy że sentymentalne tezy w rodzaju, iż jedna łąza chłopskiego dziecka warta jest więcej niż cała burżuazyjna kultura, są jednak nieco przesadne. I znowu rzecz nabierała znaczenia w perspektywie ogólnej: odrzucenie marksistowskich wulgaryzmów i aberracyjnych nadużyć interpretatorskich miało swą doniosłość ogólnokulturalną, a więc było nie tylko rozrachunkiem w obrębie jednej dyscypliny. Zdawała sobie niewątpliwie z tego sprawę Maria Rzeuska, gdy w czasie popaździernikowej odwilży przedstawiła w „Tygodniku Powszechnym” swą głęboką analizę stalinowskiej polonistyki.

Trzeba więc nadal pozostać przy pytaniu: co sprawiało, że nauka o literaturze zajęła wśród konfliktów epoki takie właśnie miejsce, że była ważna nie tylko dla tych, którzy się nią zajmowali z racji swojego zawodu? Zdecydowały o tym, jak się zdaje, dwa czynniki. Po pierwsze fakt, że łączyła się bezpośrednio z problematyką tradycji, że wpływała na jej kształtowanie i modelowała społeczne wyobrażenia, jakie się wokół niej krystalizowały. A to miało wówczas dla komunistów podstawowe znaczenie. Chodziło o nadanie tradycji takiej postaci, by nie tylko nie wchodziła w sprzeczność z głoszonymi oficjalnie ideami, ale w sposób mniej lub bardziej bezpośredni stanowiła dla nich wsparcie. A nauka o literaturze w wyjaśnianiu, interpretowaniu i — o tym nie można zapomnieć — formowaniu tradycji grała rolę podstawową, dużo większą niż inne

gałęzi wiedzy. Uświadamiali sobie ten fakt także ci, którzy bronili literatury przed inwazją marksistowskich interpretacji, coraz jawniej i konsekwentniej przyznających sobie walor wyłącznej słuszności. Stawka była duża — i znowu chodziło o coś więcej niż o prawo do swobodnego interpretowania dzieł literackiej przeszłości czy procesów rozwojowych literatury. To właśnie rola nauki o literaturze w formowaniu tradycji sprawiała, że zajmowała tak ważną pozycję w ówczesnych sporach i że formy jej działania i istnienia były sprawą społecznie doniosłą.

Drugim czynnikiem, który zdecydował o jej osobliwym położeniu, była pozycja samej literatury. Trzeba z przykrością stwierdzić, że przed trzema czy czterema dziesięcioleciami jej znaczenie było bez porównania większe niż dzisiaj. Nie będzie uzurpacją, gdy się powie, że stanowiła ona pierwszą ze sztuk. Żyliśmy jeszcze w sferze cywilizacji druku, telewizja, o której mało kto słyszał, nie stanowiła dla niej zagrożenia. Pozycja literatury, tak historyczna, jak współczesna, w jakiś sposób wpływała na społeczne położenie nauki o literaturze, jeśli wręcz o nim nie przesądzała.

I ten układ rzeczy załamał się w latach sześćdziesiątych. Nasza dyscyplina nie znalazła się na pierwszej linii ideologicznego frontu, bo dla komunistycznych doktrynerów, czy hochsztaplerów (co czasem na jedno wychodziło) stała się jednak mniej ważna, i to nie tylko dlatego, że reżim zelżał. Działo się tak mimo energicznych, wielokrotnie ponawianych prób zniszczenia nauki o literaturze narzędziami wulgarnej komunistycznej polityki. Ostatecznie Jan Zygmunt Jakubowski (przy pomocy swoich mafiosi) niemal nic innego nie robił przez kilkanaście lat. Szkód wyrządził wiele, obniżył powagę i prestiż dyscypliny, chcąc ją sprowadzić na swój poziom, czyli propagandowych pseudo-patriotycznych gadanin; celu jednak nie osiągnął — nawet w roku 1968. Inaczej niż na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych partia miałaby z tego dzieła zniszczenia zbyt mało profitów, by warto jej było podjąć je w formie ostrej i bezwzględnej. Marksistowska (w sensie ortodoksji partyjnej) nauka o literaturze przestawała istnieć, jednakże czynniki oficjalne, administratorzy nauki, ci wszyscy, którzy aspirowali do roli ideologicznych wyroczni, nie podjęli zbożnego trudu przyprowadzenia jej do marksistowskiego porządku. I tym różniła się jej sytuacja od tego, co było udziałem socjologii, ekonomii politycznej, czy niektórych przynajmniej gałęzi historii. W tym też wyrażała się niewątpliwie pewna szansa.

Nauka o literaturze nie budziła też większych kontrowersji i większych zainteresowań w czasie, gdy ukształtował się niezależny ruch wydawniczy. W sumie ukazało się w nim niewiele do niej należących pozycji (więcej

znacznie z krytyki literackiej, ale to trochę inna sprawa). Zainteresowanie piśmiennictwem emigracyjnym nie oddziało na jej pozycję i nie zwróciło ku niej szerszej publiczności. A ją zajmowała w istocie (i zajmuje do dzisiaj) jedna tylko dziedzina humanistyki — historia najnowsza. Jest to zrozumiałe, skoro to właśnie była sfera kłamstwa uporczywego i konsekwentnego, sfera przeinaczeń, przemilczeń, fałszerstw niekiedy jawnych i pewnych siebie, wchodzących w konflikt z potoczną wiedzą i zdrowym rozsądkiem. O społecznym sukcesie historii zdecydował przedmiot — dzieje najnowsze, bo już inne jej gałęzie takiego zainteresowania nie budziły, ich pozycja nie różniła się więc od położenia reszty nauk humanistycznych. Sukces historii, zajmującej się XX wiekiem, nie wynika z jej nowatorstwa metodologicznego, z teoretycznej głębi czy walorów dyskursu, był następstwem znaczenia, jakie dla świadomości społecznej miało (i wciąż ma) ujawnianie prawdy o tym, co składało się na polskie dzieje współczesne.

Nauka o literaturze, w tym nawet historia literatury najnowszej, na tego rodzaju sukces liczyć już nie może. Czy znaczy to jednak, że tym samym schodzi na pobocze? Oczywiście, jeśli brać pod uwagę jedynie powodzenie w kręgu kulturalnych odbiorców, nie będących specjalistami, tak jest niewątpliwie. Ale przecież nie może to być w przypadku nauki kryterium oceny, a w każdym razie jedynym kryterium oceny. Gdyby ktoś chciał taki sprawdzian stosować jako wyłączny, doprowadziłby do kolejnych wulgaryzacji i uproszczeń.

Nauka o literaturze aspiruje do bycia nauką, wynika to już z jej nazwy. I w tej dziedzinie odnosi w Polsce całkiem niezgorsze sukcesy — za sprawą kilku czy kilkunastu badaczy. Osiągnęła pewien poziom teoretycznego wyrafinowania i metodologicznego nowatorstwa, śmiało podejmuje różnorakie problemy, nie jest więc skazana na występowanie wobec nauki światowej w roli Kopciuszka, nie jest też zresztą Kopciuszkiem wśród dyscyplin składających się na polską humanistykę. Przedstawiciele nauk przyrodniczych utrzymują, że o poziomie prac uczonego świadczy to, czy są publikowane i przywoływane w międzynarodowych czasopismach o najwyższej renomie. Kryterium to nie obejmuje oczywiście historii literatury polskiej, bo tu działa akurat sprawdzian odwrotny (zagraniczni poloniści uważają za miarę aprobaty i sukcesu opublikowanie tekstu w Polsce), obejmuje jednak w jakiejś mierze teorię literatury. Dawniej dostępne na świecie były tylko prace Romana Ingardena. W ostatnim ćwierćwieczu nikt wprawdzie mu nie dorównał, ale w renomowanych czasopismach i książkach zbiorowych ukazują się prace kilku polskich teoretyków literatury.

I jeszcze jeden argument chciałbym przywołać. Roman Jakobson przez całe życie twierdził, że poetyka pojmowana jako nauka stanowi część językoznawstwa. Pogląd wielkiego uczonego powtarzali jego wielbiciele, uczniowie, satelici, inni wszakże zarzucali mu popadanie w imperializm lingwistyczny. Dzisiaj mniemanie to jakby samo apeluje o rewizję, bo w czasach, kiedy językoznawcy jako przedmiotem dla siebie świeżym zainteresowali się tekstem, wypowiedzią, mówieniem, nie może ono nie brzmieć anachronicznie. Tymi właśnie sprawami zajmuje się przecież poetyka od Arystotelesa i czyni to w różnych formach i w różnych uwikłaniach aż po dzień dzisiejszy, to w tej dziedzinie ma doświadczenie większe niż inne gałęzie wiedzy (nie zmierzam do prostego wniosku, że to w istocie językoznawstwo staje się częścią poetyki, teza taka brzmiałaby humorystycznie). Wypływa z tego wszakże morał, że poetyka, a wraz z nią nauka o literaturze, ma swoje miejsce w koncercie nauk i że w pewnych przypadkach odgrywa pionierskie role. W zakresie wiedzy o strukturze wypowiedzi nikt jej dotąd nie dogonił i nie przegonił (z czego, dorzucę, nie wszyscy językoznawcy zawsze chcą sobie zdać sprawę). A więc nie popadajmy w kompleksy z powodu marginalizacji naszej dyscypliny. Przestała wprawdzie pouczać, tworzyć wzorce zachowań i pokrzepiać serca, pozostała jednak świadomą swych celów i metod dziedziną nauki, ważną dla przedstawicieli innych dyscyplin. Jedźmy dalej, zejście na pobocze nam nie grozi.

listopad 1990